



Nr. 43.

23-go Października

1913.

DWAJ NIESZCZĘŚLIWI.

POWIĘSTKA.

(Dokończenie)

Z tą myślą położył się na ziemi i ostrożnie, po cichutku, wsunął się pod łóżko pana Jana. Przytulił się do ściany i drżał ze strachu, wsłuchując się w owe mniemane dobijania się za oknami. Wygodnie mu nie było na gołej ziemi, gdyż izdebka zwana gościnną w owej karczmie, odludnej, nie miała nawet podłogi, ale miał jakąś otuchę, że go tam zbójcy może szukać nie będą, i po jakimś czasie, zmorzony bezsennością i potrzebą spoczynku po trudach całodziśniej podróży, usnął znowu. — Zaledwie usnął przebudził się pan Jan.

— Ha! sen młara, Pan Bóg wiara, — rzekł do siebie. — nie mogę się opędzić myśli, że ten skarb jest... Gdyśmy wchodzili do tej izby, coś mi się jakby zaświeciło pod łóżkiem Ignacego, a teraz, przed chwilą, śniło mi się, że tam tylko ręką pogrzebał i zaraz garść dukatów wyjąłem... Ot... zbudzę go... odsunęmi łóżko i będziemy kopali razem.

To mówiąc, pan Jan wstał i w ciemności szedł do łóżka pana Ignacego.

Ale zrobiwszy parę kroków zatrzymał się.

— Nie, nie będę go budził, — pomyślał. — gdyby się tam nic nie znalazło, śmiałyby się ze mnie. Ale dopiero tryumf dla mnie będzie, jak mu jutro pokażę skarb z pod jego łóżka wydobyty.

Tak myśląc, wsunął się ostrożnie pod łóżko pana Ignacego i zaczął grzebać w mocno ubitej ziemi, próbując czy na dukaty nie natrafi.

Kopał, grzebał, pracował, pocił się, aż nareszcie sen go zmorzył i usnął także.

Rozumnie się, że nie tylko obaj spali niewygodnie, ale i sny mieli niemiłe.

Jeden wciąż śnił o złóżach, a drugi o wymykających mu się skarbach.

Już się dobrze rozwidniało, gdy pan Ignacy, któremu się śniło, że go rozbójnicy gonili i już, już mieli dopędzić, miał niby we śnie przeskoczyć jakiś rów, ażeby się ocalić. Szarpnął się wtedy dla większego rozpędu i palnął się czołem o krawędź łóżka.

To go zbudziło. Zaczął przecierać oczy, z trudnością rozpoznając miejsce, w którym się znajdował, i nim jeszcze sobie zdał z tego dokładnie sprawę, zobaczył pana Jana pod łóżkiem.

Na ten widok pan Ignacy wybuchnął tak głośnym śmiechem, że obudził pana Jana.

Temu śniło się znowu, że skarb, którego szukał, znalazł kto inny, a on chciał mu go wydrzeć jako swoją własność, porwał się zatem i podobnie zrobił sobie guza na czole, uderzając się o deski.

Pomimo dolegliwego bólu, oczy pana Jana, skierowane w stronę skąd głos usłyszał, zatrzymały się przed panem Ignacym. Spostrzegłszy go w tak niezwykłej pozycji, pan Jan podobnie zaczął się śmiać.

— O, widzisz, panie Ignacy. — zawołał po chwili, — jaki ten nocleg, takie było całe twoje życie. Mogłeś spać wygodnie na łóżku, tymczasem zapewne znowu przez jakieś przywidzenia wlałeś pod łóżko.

— A tomi się podoba, — zawołał niedosłuchawszy jeszcze pan Ignacy. — przez całe życie dziwak był z jegomości, ale to już przechodzi wszelkie granice, żeby aż pod łóżko się chować.

Po chwili dopiero obaj spostrzegli, że kocioł garnkowi przyganiał i zawstydzeni wygramolili się z swoich kryjówek.

Nie w smak im jakoś było rozprawiać z sobą, jak zwykle ludziom, którzy się wstydzić muszą jeden drugiego, więc udali obaj, że się zabierają do porannej modlitwy, każdy ze swojej książki do nabożeństwa. Zabrali się jednak do modlitwy bez szczerzej myśli o nabożeństwie, oczy jednego i drugiego błakały się po książce, gdzie się otworzyła i przypadek sprawił, że pan Jan zatrzymał wzrok na wyrazach Ewangelii o ludziach, co widzą słomkę w oku sąsiada, a w swoim belki nie widzą, a pan Ignacy natrafił na wzniosłe słowa przykazania miłości: „Nie czyń drugiemu co tobie niemiło”.

Sumienie powiedziało im obu, że śmiejąc się jeden z drugiego, zapomnieli o tych szczytnych naukach, z wzruszeniem zatem uściśnuli się wzajemnie i przebaczywszy sobie urazę, puścili się w dalszą drogę.

* * *

Dalsza droga, jak już powiedziałem wiodła przez las. Za czasów kiedy się to działo, były jeszcze owe lasy ogromne, które dziś zmarnowała nieogłębność właścicieli, rządzących się przysłowiem: „nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las“. A drogi przez lasy nie były wówczas tak bezpieczne i tak dogodne, jak bywają dzisiaj. Nic więc dziwnego, że podróżni nasi zbłądzili. Zjeżdżali z szerszej drogi na coraz węższą, radząc się naprzemian to instynktu pana Jana, który wciąż przewidywał, że na najkrótszą drogę trafi, to przeczucia pana Ignacego, któremu zawsze się zdawało, że jeśli nie pojedą według jego wskazówki, to ich o parę staj spotka jakieś niepowetowane nieszczęście, aż wreszcie droga znikła zupełnie, dostali się w leśną głębinę, w której już prawie śladu stóp ludzkich nie było.

Zaczęła się narada co począć:

— Jedźmy w prawo, — mówił Jan.

— Godzinę temu pojechaliśmy w prawo za poradą jegomości, — odpowiedział pan Ignacy, — i oto gdzieśmy zajechali!

— To dlatego, że półgodziny temu, za poradą twoją, panie Ignacy, pojechaliśmy w lewo, — odparł rozdąsany pan Jan.

— Cóż tedy począć?

— Ja myślę czy pojedziemy w prawo, czy w lewo, zawsze się dostaniemy gdzieś do ludzi.

— A ja myślę, że i w tym razie zbłąkamy się jeszcze bardziej i przyjdzie z głodu umrzeć człowiekowi, albo paść ofiarą dzikiego zwierza.

— Więc nie zgadzasz się na moje, panie Ignacy? — zapytał pan Jan zniecierpliwiony.

— A mało to złego ucierpiałem przez to, że czasem ustępowałem jegomości. Ot lepiej mógłbyś jegomość ustąpić.

— I ja niemalom biedy przeszedł, żem cię niekiedy słuchał, panie Ignacy, więc się teraz pokieruję swoim rozumem. Pojadę, gdzie mnie oczy poniosą, a ty kiedy chcesz, to sobie siedź i płacz.

To powiedziawszy, pan Jan wsiadł na konia i odjechał, zapomnieliśmy bowiem dodać, że podróż odbywali konno.

Pan Ignacy pozostał rozlamentowany i smutny.

Jak długo jechał jeden i jak długo siedział na miejscu drugi, o tem milczy historia, z której zaczęliśmy to wiarogodne pod każdym względem opowiadanie, — dość, że była już noc ciemna, a bodaj nasi bohaterowie byli jeszcze w lesie i nie wiedzieli jak wyjść z niego, a co gorsza nie wiedzieli zupełnie jeden o drugim.

Koń pana Jana był zmęczony okropnie, jeździec jeszcze bardziej, a końca lasu nie było ani widać.

Nareszcie w ciemności mignęło w dali jakieś światelko.

— Nie powiedziałem, że nareszcie dojadę do ludzi, — zawołał pan Jan rozweselony, — nie idę dalej tylko do tego światelka.

Pojechał i napotkał małą leśną chatkę. Zapukał, pochwaliwszy Pana Boga i poprosił o przytułek.

Otworzył mu staruszek o siwej jak mleko brodzie i dowiedziawszy się jaka go spotkała przygoda, przyjął gościnnie, czem mógł.

Zaledwie pan Jan się rozgościł, zapukano do drzwi chaty. Starzec wyszedł otworzyć i po chwili sprowadził pana Ignacego, mówiąc:

— Pan Bóg łaskaw dziś widzę na moją pustelnię, kiedy mi aż dwóch zbłąkanych przysła.

Zobaczywszy towarzysza niedoli, pan Jan zawołał:

— A co, panie Ignacy, czy nie na mojem się stało? Musieliście się ruszyć z miejsca, kiedyście aż tu trafili, gdzie ja przybyłem po całodzienną podróż.

— Owóż nieprawda, — odrzekł pan Ignacy, — gdybym się był ruszył, nigdybym się tutaj nie dostał. Siedziałem przez cały dzień i dopiero teraz w nocy spostrzegłem światelko, najwięcej o sto kroków od siebie, więc poszedłem za niem i jestem tutaj!

— Nie może być, — odpowiedział pan Jan, — albo chyba to jaka zaklęta chata, a jej gospodarz jest czarownikiem. Przecież gdyby była o sto kroków od nas, to byśmy ją byli widzieli w dzień, a ja jechałem nie spoczywając ani chwili prawie, od czasu jak się rozstaliśmy, więc byłbym od niej najmniej o pięć mil odjechał.

— Ja nic nie wiem, wiem tylko, że siedziałem i gotów jestem przysiąc na to.

Staruszek słuchał tego sporu z łagodnym uśmiechem, a gdy goście jego na żaden sposób zgodzić się z sobą nie mogli, kto z nich ma słuszość, rzekł:

— Bracia moi, widzę po was, że obydwaj prawdę mówicie. Obaj byliście blisko mojej chaty, zasłoniętej przez gęstwinę, przez którą teraz światło się przedarło. Jeden z was puścił się w drogę nierozważnie i bez stałego kierunku, drugi siedział i czekał, więc tamten jeżdżąc w koło, zajechał tam, gdzie był ten, który na miejscu został.

— Któryż z nas rozsądniej postąpił? — zapytali razem obydwaj.

— Żaden, — odpowiedział staruszek, — obaj zdaliście się na los, a los posłużył obu jednakowo; jeden się bardziej zmęczył, drugi bardziej znużył. Sądzę jednak, że wam w życiu nieraz muszą się przytrafiać takie przygody.

— Oj! to prawda, — rzekli obaj podróżni i zaczęli opowiadać staruszkowi swoją historię.

Staruszek wysłuchawszy, rzekł:

— Obaj jesteście nieszczęśliwi i błędną drogą w życiu chodzicie. Ty, panie Janie dlatego, że wszędzie tylko dobre przewidujesz, że jesteś optymistą, a ty, panie Ignacy dlatego, żeś pesymistą, że we wszystkim przypuszczasz tylko złe. Przekonałście się teraz, że obydwoma temi drogami idzie się w życiu do jednego miejsca, tak jak to wy w karczmie zasłiście pod łóżko, a w lesie do mojej pustelni, ale nie można zejść, gdzie się chce.

— Jakże więc postępować w życiu, aby dojść zawsze do zamierzonego celu?...

— Trzeba rozważać i złe i dobre strony każdej rzeczy, a nie uprzedzać się do jednych, wmawiając w siebie, że nic innego przytrafić się nie może.

— Mądre nam rady dajesz staruszk, — odrzekł obaj nasi podróżni, — pragnęlibyśmy poznać i zapamiętać twe imię, aby nam przypominało rady twoje.

Staruszek odrzekł:

— Nazywam się: Doświadczenie.

Czy staruszek prawdę powiedział, czy żartem tylko nadał sobie takie nazwisko, nie wiemy, to jednak pewna, że gdyby Doświadczenie spotkało takiego pana Jana i takiego pana Ignacego na swojej drodze, choćby nawet nie było pustelnika w odludnej leśnej chatce, to by im powiedziało to samo.



Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Uciekaj dziewczyno
Ścigają cię chłopcy,
Zgubiłam fartuszek
Weźmie go kto obcy.

Uciekaj dziewczyno
Bo cię wnet dogonią,
Gdy nie masz fartuszka,
To zastoń się dłonią.

Uciekaj i nie trać
Czasu nadaremnie
Jakże mam uciekać
Kiecka leci ze mnie.

Zostaw, że im kieckę
Niech ci ją zabiorą,
Ty się nie oglądaj,
A umykaj sporo!

Zmykaj pókiś cała
Ku boru, ku rzece,
Zgubiłam trzewiczki,
Jak bez nich polecę,

Ostaw im trzewiczki
Niech też je podniosą,
Umykaj że prędzej,
Kiedy jesteś boso!

Nie oglądaj że się
Nie zatrzymuj nikaj,
A do mnie dziewczucho
Prościuteńko zmykaj.

Choć boso i tylko
Jedną masz koszulę
I tak cię do serca
Mojego przytulę!

**UWOLNIONY!**

Sędzia: 50 mil na godzinę! Stary obywatel, pies i chłopiec poranieni! Wstyd! Kiedy to się wydarzyło?

Szofer: W piątek, kiedy pan sędzia dał mi talara napiwku, abym go szybko zawiózł do sądu.

**SKUTEK RADOŚCI.**

— Mojsze, jak to możliwe? — wczoraj byłeś całkiem siwy, a dzisiaj masz włosy jak kruk.

— Mój przyjacielu, miałem radość nadspodziewanie wielką i włosy mi przez jedną noc poczerniały.

**WYLECZYŁA GO!**

Pani W.: Ja nie wierzę, aby wkładanie rąk mogło kogo wyleczyć.

Pani S.: A ja wierzę, bo jak zaczęłam codziennie kłaść ręce na mego synka, to go wyleczyłam od palenia papierosów.

OSTATNIE ŻYCZENIE.

Golarza Nogę skazano za zamordowanie żony na śmierć. Świadków nie było, sędziowie przysięgli wahali się z wyrokiem, obrońca dzielnie rąbał, ale prokurator uparł się przekonać swoją wymową trybunał przysięgłych, że golarza skazano na śmierć przez powieszenie. Przed samem wykonaniem wyroku spytano go jeszcze, jak zwykle:

— Masz jakie ostatnie życzenie?

— Mam.

— Jakie?

— Chciałbym pana prokuratora ogolić...

Ale prokurator nie zgodził się jakoś.

**RAJSKIE STOSUNKI.**

A.: Jak się powodzi właściwie Kwaśniewskim?

B.: O! ci żyją, jak w raju.

A.: Doprawdy? Skądże to przyszło tak odrazu?

B.: To rzecz bardzo prosta. Już nie mają się czym odziać.

**ZE SADU.**

Sędzia: Czy pan nie żalujesz, żeś swemu przeciwnikowi pełną szklankę piwa rzucił o głowę?

Oskarżony: Prawda, żal mi teraz. Byłbyś naprzód powinien wypić.

**KOLIGACYA.**

— Jak się nazywa ojciec raków?

— Tata-rak..

— A jak się nazywa samiec od pchły

— Pchał.

**WSZYSTKO DOBRE.**

— Jasiu, czy obrałeś sobie jabłko z łupiny przed jedzeniem?

— Tak mamusiu.

— A co zrobiłeś z łupinami?

— Zjadłem je mamusiu.

**DOWCIPNA CESIA.**

Cesia zajada jabłko i krzywi się okropnie.

Matka: Rzuć to jabłko, kiedy takie kwaśne.

Cesia: Jabłko jest bardzo dobre, proszę mamusi, ale ja się unyślnie krzywię, żeby mi go braciшек nie zabrał.

**OGŁOSZENIE.**

Do odsadzenia posada na księcia albańskiego z pensją 2000 marek albo koron rocznie. przytem mieszkanie, wikt, opał, światło, opierunek, dwa litry mleka dziennie. Reflektanci zechcą się zgłosić piśmem, z dołączeniem fotografii do biura komisaryatu 233 rewiru policyjnego w Berlinie

W KAWIARNI.

- Cóż, zdałeś technikum?
 — Dyabła tam zdałem!...
 — Spalili cię! a cóż cię pytał?
 — Pytał mnie, jakbym ja umocował wolne schody w budynku.
 — A ty co?
 — Powiedziałem jak umiałem.
 — I było źle! Jakżeś powiedział?
 — A no tak: Wmuruję jeden koniec kamiennych schodów do ścian, a pod schodami postawię ze trzydziestu żydów. Jeżeli się nie zawali — to dobrze: a jeżeli się zawali — to jeszcze lepiej!
 — Ależ to znakomita odpowiedź! I profesor cię spalił?
 — A spalił.
 — No... to osieć skończony.

—★—

ZAPATRYWANIE DZIECKA.

- Ile ma lat twój dziadek, Helenko?
 — Nie wiem, ale mamy go już bardzo długo.

—★—

NIEDŹWIEDZI KOMPLEMENT.

Dziś wygląda pani poprostu wspaniale! Niczem szesnastoletnia róża.

—★—

POLSKI ŻYD.

- Panie Abramie, czy i pan się zajmuje sprawami słowiańskimi?
 — Tutaj w Polsce to nie, ale jak jestem zagranicą, to bardzo.
 — Jak pan się tam zajmuje?
 — Wymyślam przed Niemcami na Polaków.

—★—

Kawaler: Czem Pan Bóg najbardziej uszczęśliwił Lotę?

Mąż (heroda baby): Tem, że jego żonę... zamienił w słup soli.

—★—

Pan Dodo: Hm, moje dziecko, czy twoja matka wie, że ty wyszłaś?

Lola: Tak, ona mnie posłała, abym kupiła małpę. Czy pan jest... na sprzedaż?

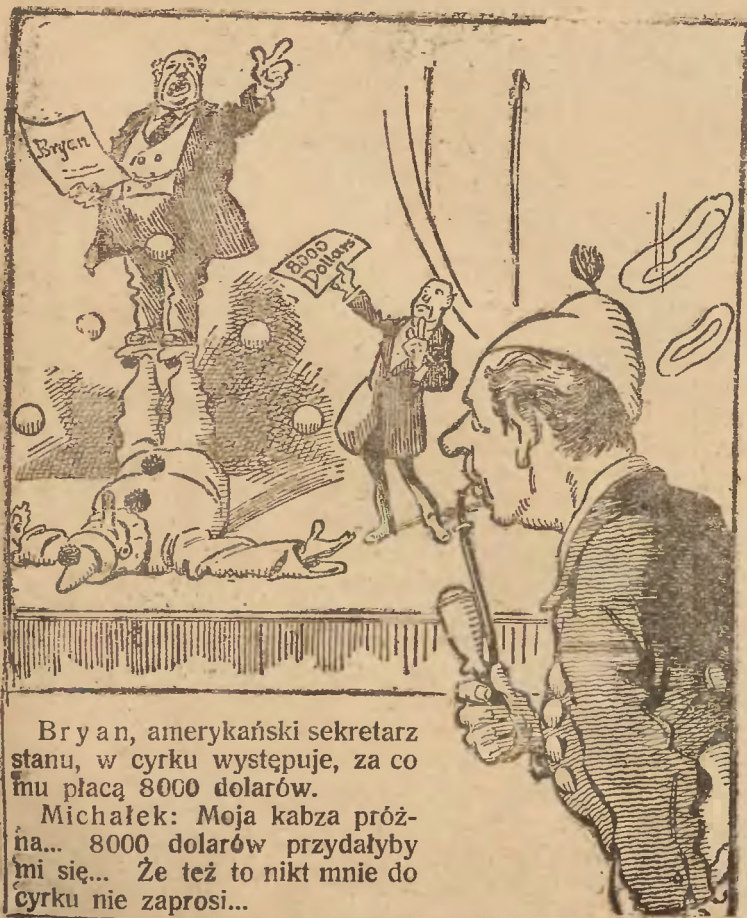
—★—

Wróżbit z dłoni: Pańska przyszłość jest bardzo... ciemna.

Klient: Więc co by mi pan polecił?

Wróżbit: Mydło.

—★—



Bryan, amerykański sekretarz stanu, w cyrku występuje, za co mu płać 8000 dolarów.

Michałek: Moja kabza próżna... 8000 dolarów przydałyby mi się... Że też to nikt mnie do cyrku nie zaprosi...

Pewien włościanin, który profesorowi drzewo przywiózł, patrzył z podziwieniem na mapę wiszącą na ścianie i nie mógł odgadnąć, co by te różne kreski znaczyć miały. Na zapytanie jego wytłumaczył mu profesor, że to karta, na której są morza i wszystkie miasta i rzekł:

— A Berlin jest też! — zapytał chłopiek.

— Jest, oto tu! — wskazał mu profesor.

— Ach, to niech wielmożny pan profesor będzie taki dobry i zajrzy, co tam mój syn robi, który jest w wojsku

—★—

Pewien pan Dębński, znany z łakomstwa i nieobyczajnego życia podarował miejscowemu kościelowi obraz św. Anny, lecz chęłpiąc się z podarku, kazał malarzowi taki położyć napis:

Proś Matko Córkę, a Ty Córkę Syna,
 Aby się dostał do nieba Dębina.

Dowcipniś jakiś, znający dumnego dawcę, dodał do tego podpisu te słowa:

W niebie nie masz ognia, co tam po Dębinnie?
 Do piekła z Dębina, tam ogień nie ginie!

